



Kryminał z myszką

22

KAPITAN STEFAN BULA NA TROPIE

ŻMIJ ZŁOTE I INNE

Jan Bernard

Jan Bernard

ŻMIJE ZŁOTE I INNE

Kryminał z myszką – Tom 22

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-73-1

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Iskry, Warszawa 1972 (Srebrny Klucz)

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Jan Bernard to pseudonim literacki Bohdana Peteckiego

I

– W gruncie rzeczy mnie to nie bawi – zapewniłem moją matkę.

Rozpływała się właśnie w popielatej mgłę, tak popielatej jak jej parasol z rączką w kształcie głowy węża.

Nie odpowiedziała. Nie spodziewałem się zresztą, że odpowie: W tym momencie przebudziłem się na dobre. W każdym razie przebudziłem się. Czy na dobre, to się dopiero okaże.

Potężne łupnięcie pod czaszką skłoniło mnie do otwarcia oczu. Z moją głową działo się coś dziwnego. Jakby mi przyrosła w czasie snu do pęczniejącego, kamiennego grzyba.

Opuściłem powieki. Ostrożnie przewróciłem się na wznak. Kamień wewnątrz mojej głowy osunął się i zachrobotał.

– W gruncie rzeczy mnie to nie bawi – wymamrotałem na głos i szeroko otwarłem oczy. Jest to zabieg niezbędny, jeśli chce się przyjąć wyzwanie Nowego Dnia. Jeśli nie chce się przyjmować żadnego wyzwania, robi się to z przyzwyczajenia. Tak już jest i nie wyobrażam sobie, żeby można to kiedyś zmienić.

A jednak, gdybym mógł przewidzieć, czym uraczy mnie ten nowy dzień, przeleżałbym go z zamkniętymi oczami, nie dbając o te kamienie w głowie. Na razie dość było tego, co zobaczyłem.

Przede wszystkim stół. Był dość niski, abym z pozycji, jaką zajmowałem, mógł ocenić, co dzieje się na jego powierzchni.

Trzy otumanione kwiatki, żółte od dymu. Kałuża na obrusie. Morze Czerwone. To ta słodka ciecz, którą przyniósł Paweł. Ale w pierwszej chwili musiałem pomyśleć, czy któremuś z moich gości nie puściła się wczoraj krew z nosa.

Tysiące kieliszków. Wszędzie. Na książkach i na podłodze. Nawet w adapterze. Na ich dnie pozostało coś, co zwykle cuchnie niemiłosiernie. Pociągnąłem nosem. Ale nic nie poczułem.

Miły pokój. To nie jego wina, że przypomina ogromną kryształową popielniczkę po bankiecie na cześć orkiestry symfonicznej. Wodziłem po nim wzrokiem z niedbałym uśmiechem, leżąc bez ruchu. Co to właściwie było? Mniejsza z tym. Coś musiało być. Sprzedany obraz Katarzyny, nowa sympatia Michała, ślub Pawła czy coś w tym rodzaju. Zaczynało się zawsze tak sarno. I tak samo kończyło.

„Ty masz mieszkanie, rozumiesz...” – aż mnie podniosło. Postanowiłem, że zrzucę ze schodów pierwszego, kto to jeszcze powtórzy. To co, że mam mieszkanie. Każdy gdzieś mieszka.

– Dobra, dobra – powiedziałem na głos. – Usłyszysz to jeszcze nieraz. Wcale nie musisz długo czekać. I nikogo nie zrzucisz ze schodów. Każdy gdzieś mieszka. Ale nie w garsonierze jak z milutkich romansów. Sprzed stu lat.

Powoli uniosłem głowę, nie zważając na jej protest. Wiedziałem, że przez najbliższe godziny będzie się buntować przeciw każdej pozycji, jaką mógłbym jej zaproponować.

– Jasne, że mnie to nie bawi – powtórzyłem z jękiem i powlokłem się do łazienki.

Powoli opuszczając się po schodach wyniosłem głowę, niby dymiącą bombę, na ulicę. Białe fiaciki pojaśniały na mój widok. Przysiągłbym, że uniosł się na kołach. Nic z tego.

Dzień był piękny do obrzydliwości. Słońce, ciepły wiatr poruszający świeże liście i ostre kontury ich cieni. Nic nie czułem, ale musiało pachnieć bzem. Złotokrzewy przekwitały powoli i na chodnikach leżało pełno żółciutkich muszelek. Maj.

Nie umówiłem się z nikim. To znaczy na trzeźwo. Zanim nie znalazłem się na kolanach przed jakąś chudą intelektualistką w „maxi”, zdaje się przyjaciółką Katarzyny. Tego jeszcze

brakowało. O ile pamiętam, namawiałem ją na spływ Czarną Hańczą. We dwoje. Tak jakby kajak nie był akurat tym urządzeniem, które odbiera facetom nie tylko moc wygodzenia chuciom, ale i chucie same.

W miarę jak dochodziłem do skrzyżowania Długiej i Zygmunta Augusta, gdzie mieszkali rodzice, mój zły humor stawał się coraz gorszy. Niepotrzebnie ich wczoraj zapraszałem. Z ojcem w ogóle się nie pożegnałem. Co do mamy, wątpię, czy na podstawie zdań, jakie z nią wymienilem, dałoby się ułożyć komunikat. Czułem się tak, jakbym szedł do dentysty.

– To ty? – spytała moja matka. W jej głosie zabrzmiało życzliwe zainteresowanie.

Było gorzej, niż przypuszczałem. Mama podejmowała mnie tak, jakbym był jej sąsiadką. Albo gospodarzem, do którego jeździliśmy na wakacje i który przywoził nam czasem jabłka lub ziemniaki. Nic nie mam przeciw ziemniakom, ale przyszedłem z czym innym. I nie chciałem, żeby mówiła do mnie „mój człowieku”, co gospodarza, mającego dwóch synów na uniwersytecie, wprawiało zawsze w wyborny humor.

Wytrzymała tak dobre dziesięć minut. W pewnej chwili zlustrowała spojrzeniem stół, zmiotła z niego nie istniejące okruszki i powiedziała tonem człowieka, powtarzającego czyjaś głupią uwagę:

– Chciałabym wiedzieć, czy ciebie to rzeczywiście bawi...

Zrozumiałem, skąd wzięła się myśl, z którą się obudziłem.

– W porządku – przystałem. – Powiem ci, ale od kogo, u licha, pożyczyłaś szary plażowy parasol z rączką w kształcie węża?

Mama zastygła w bezruchu.

Z sąsiedniego pokoju dobiegło szurnięcie krzesła, po czym rozległy się mocne kroki. Drzwi zadygotały gorączkowo i wszedł mój ojciec.

– Cześć, Jasiek – rzucił, obdarzając mnie przelotnym spojrzeniem. Podeszedł do regału, wyłuskał jakąś książkę i wbił w nią palec. Założyłbym się, że trafił w miejsce, o które chodziło. Zawsze trafiał. I tym razem trudno było o celniejszy strzał:

– Spłukałeś się pewnie wczoraj do nitki – mruknął, wertując kartki. – Zajdź do mnie, jak skończysz rozmawiać z mamą.

Ojciec był zawsze rzeczowy. Urodził się jako czwarty syn najbiedniejszego chłopca we wsi Mogiła pod Krakowem, tuż przy Placu Centralnym dzisiejszej Nowej Huty. Było to szczególne wyróżnienie ze strony Opatrzności, zważywszy, że stan posiadania najbogatszych nawet mieszkańców wioski tak samo dobrze uzasadniał jej nazwę. Trzeba było niemałej rzeczowości, aby już przed wojną wspiąć się do szczebla asystenta Akademii Górniczo-Hutniczej. Potem, po pięćdziesiątym szóstym roku, kiedy awansował ze stanowiska profesora zwyczajnego na nadzwyczajnego dyrektora wielkiego zjednoczenia, przecież ubarwiał swoje życie szczyptą mistycyzmu. Polegało to na przekonaniu, że rzucone w porę: „wpadnij do mnie”, „zadzwoń do mnie” lub „przypomnij mi o tym we czwartek” załatwia mnóstwo spraw na pozór nie do załatwienia. Niemniej jednak po tej zapowiedzi mogłem już spokojnie doliczyć kilka gramów do wagi mojego portfela.

– On jest jeszcze pijany – oświadczyła matka. Obaj z ojcem przyjęliśmy to z godnością.

Moja matka pochodziła z tak zwanej dobrej rodziny i wiedziała, co robić z pieniędzmi. Zresztą nigdy ich jej nie brakowało. W czasie okupacji uczyła języków i raz po raz sprzedawała „coś ze złota”. Utrzymywała ojca, zanim prysnął do lasu, no i swojego jedynaka, który ujrzał mroczny świat trzeciego roku wojny.

Głos matki, kiedy obwieściła światu straszną prawdę o moim stanie, miał tchnąć obrzydzeniem. Zważywszy jednak, że od wspomnianego trzeciego roku wojny jedyną autentyczną pasją mamy było rozpaskudzanie mnie, nie mogliśmy przyjąć tego obrzydzenia za dobrą monetę.

Ostatecznie, wszystko się ułożyło. Udobruchałem mamę przy użyciu zsiadłego mleka i stosownej porcji jajecznicy. Zawsze mogłem ją ułagodzić okazując dobry apetyt. Mruknęła jeszcze tylko coś o Katarzynie. Że ostatnio coraz rzadziej ją widuje i że pewnie nawet ta kochana dziewczyna nie może już ze mną wytrzymać. Tak już jest, że ludzie nade wszystko kochają swoje matki. I niech nie dożyję jutra, jeśli jestem wyjątkiem.

Załatwiłem, co należało, z ojcem i wyszedłem z domu w dużo lepszym nastroju. Przemknęło mi nawet przez myśl, że dobrze byłoby pogadać z kimś miłym, ale w porę przypomniałem sobie, w jakim stanie zostawiłem mój pokój. Znowu załomotało mi pod czaszką. Pół niedzieli babskiej roboty. Szkoda jednak, że się nie umówiłem z tą chudziną. Byłaby, jak znalazł.

Ni stąd, ni zowąd przyszła mi na myśl Katarzyna. Wzruszyłem ramionami. Nie widziałem jej tydzień. Zrobiła autentyczną scenę o jednego kociaka, asystentkę Kłajpedy. Nie wiem, kto i dlaczego przechrzczył tak starego Zielińskiego, profesora anatomii patologicznej. Faktem jest, że pasowało do niego jak ulał. A ów kociak? Zgrabna, świeża, z miłą mysią buzią i sympatycznym meszkiem na ramionach. Powiedziałem Katarzynie, żeby była łaskawa skreślić mnie z inwentarza. Chciałem ją przekonać, że babki, demonstrując prawo własności do mężczyzny, osiągają najczęściej skutek, oględnie mówiąc, nie zamierzony. Musiała to inaczej zrozumieć. Warto było widzieć jej minę. Trudno o lepszą na widok królika, pożerającego własne potomstwo. Zaraz na drugi dzień umówiła się z Kosteckim. Ten bałwan kochał się w niej już na studiach. Wyobrażam sobie, jak się teraz nadyma. Może się nawet uśmiecha.

Ta myśl nieoczekiwanie mnie rozzłościła. Przyśpieszyłem kroku. Nie ma sobie czym zawracać głowy. Dziewczyny ciągną jak owce na hali, mało że nie dzwonią, tak gnębi je myśl, że ktoś ich w porę nie dostrzeże. Niech sobie Kostecki da wpisać krzyżyk w odpowiednią rubrykę. Zawsze dbał o to, żeby mieć wszystko zaszufadkowane. Powinien zbierać motyle i nosić niebieskie zarękawki. Jeszcze w szkole był najobrzydliwszym kujonem, jakiego zdarzyło mi się spotkać. Osiągnął rzadki sukces, ten mianowicie, że nikt mu nie chciał podpowiadać. Straciłem go z oczu przed maturą. Potem pojawił się na Akademii. Z jakiegoś powodu studiował na niższym roku. Teraz pracował w szpitalu, na chirurgii. Mniejsza z tym.

Moja kawalerka, pozostałość czasów studenckich, kiedy rodzice mieszkali pod miastem, nie wyglądała lepiej, niż się spodziewałem. Ogólne wrażenie uzupełniał teraz charakterystyczny zapaszek. Po prostu mój nos odzyskał w czasie spaceru swoje przyrodzone właściwości.

Rozebrałem się do kąpielówek, chwyciłem obrus za cztery rogi i przepowiadając sobie surę z Koranu, ostrzegającą wiernych przed skutkami pijaństwa, powędrowałem w stronę kuchni.

Po godzinie ciężkiej pracy mój pokój na najwyższym piętrze dorodnej secesyjnej kamienicy w stylu „pan nie wie, kto ja jestem”, odzyskał dziewczęcą świeżość. Nie należy tego rozumieć zbyt dosłownie. Ale wpadłem w trans. Wymiotłem nawet kurz spod tapczanu.

Właśnie włożyłem do wanny, aby zmyć z siebie brudy przeszłości, kiedy zadzwonił telefon. Telefon zawsze dzwoni w porę. Poza tym w opowieści o zbrodniach i zbrodniarzach wprowadza na ogół element grozy. Z tą opowieścią jest inaczej. Ona po prostu zaczyna się od tego właśnie telefonu.

Poznałem głos Kulskiego, zanim się jeszcze przedstawił.

– Słucham, panie profesorze – powiedział przymilnie, z niczym nie uzasadnioną nadzieją. Nie uzasadnioną, bo jeśli stary zadzwonił w niedzielę o tej porze, to mogło znaczyć tylko jedno. Żegnaj wanno i sjesto, po której obiecywałem sobie, że wypłoszy kaca.

– Mam tu przypadek, który cię zainteresuje – mówił Kulski. – A poza tym – dodał – potrzebuję kogoś do pomocy.

Zwłaszcza ten drugi argument był napoleońskiej natury.

– Zaraz przyjadę – obiecałem, dziwiąc się, że mi to tak gładko poszło. Robiłem właśnie specjalizację i siedziałem po kilka godzin dziennie w Zakładzie Medycyny Sądowej, u Kulskiego. Znam przyjemniejsze zajęcia. Ale znam i gorsze. A stary był w swojej branży autentyczną znakomitością.

Kilka minut później sadowiłem się już w niskim fotelu fiacika. Włożyłem do ust dwa cukierki miętowe i ostrożnie ruszyłem z miejsca.

Wójcikowa wyglądała jak model do filmu z gatunku: „dwie godziny grozy”. Z twarzy został prawy policzek, połowa czoła i podbródek. Reszta, nawet teraz, już po umyciu, była bezkształtną masą. Jak ona zawsze dbała o tę twarz.

Kulski mruknął coś na powitanie, nie odwracając głowy. Był w sali sam. Siedział przy nakrytym białą ceratą stole, pod brudnym zakratowanym oknem i pisał.

Przebrałem się i przygotowałem narzędzia.

– Znałeś ją, prawda? – odezwał się po kilku minutach, prostując plecy i odkładając pióro.

– Mieszkalem u niej półtora roku – odparłem zgodnie z prawdą. – Co to było?

Profesor wzruszył ramionami.

– Kiedy przyjechało pogotowie, leżała w przedpokoju i tak wyglądała. Mieszkanie okradzione.

Mieszkanie, o którym była mowa, na trzecim piętrze luksusowej kamienicy z czasów kolei warszawsko-wiedeńskiej, stało mi przed oczami, jakbym wczoraj się stamtąd wyprowadził. Nie był to na pewno najgorszy kasek.

– Złapali kogo? – spytałem, zbliżając się do stołu.

– Jeszcze nie – mruknął Kulski. To „jeszcze” zabrzmiało tak jak powinno. Nic dziwnego. Stary od dwudziestu lat współpracował z milicją.

Pracowaliśmy dłuższy czas bez słowa. Nie myślałem o niczym. Zresztą trudno przy tym myśleć o czymkolwiek poza stereotypowymi pytaniami, wymienionymi w formularzu protokołu. Cios w głowę, zadany z przodu, ciężkim, podłużnym przedmiotem. Z potężnym zamachem albo dużą siłą. Poza tym żadnych środków nasennych, trucizn, narkotyków czy czegoś w tym rodzaju. Serce jak u trzydziestoletniej kobiety. Mogła pożyć jeszcze ładne parę lat.

– Kapitan chciał z tobą mówić – mruknął Kulski, kiedy było już po wszystkim. Odpasał fartuch i pochylił się nad umywalnią.

Nasza prasa nie ma zwyczaju popularyzowania nazwisk inspektorów wydziału kryminalnego milicji. Są tak samo nieznane społeczeństwu, jak na przykład nazwiska archiwistów. Nie wiem, czy to dobry, czy zły zwyczaj. Osobiście chętnie przeczytałbym od czasu do czasu, jak taki a taki oficer śledczy poradził sobie w konkretnej sprawie z konkretnym przestępcą. Ale może istnieją uzasadnione powody do powściągliwości.

Tak czy owak faktem jest, że nazwiska najlepszych inspektorów Scotland Yardu są w Anglii tak samo popularne, jak pseudonimy ich ulubionych gwiazdek music-hallowych, u nas natomiast mowa bywa – jeśli w ogóle bywa – o jakimś „aparacie”, jakichś „ekipach”, „organach” i tym podobnych odrealnionych komórkowcach. Jedynym znanym mi wyjątkiem, potwierdzającym tę regułę, chociaż także nie dzięki prasie, był kapitan Bula. Jakimś nieodgadnionym sposobem miasto знаło to nazwisko. „Miasto” to może za dużo powiedziane. Ale w środowiskach, które miały najluźniejszy choćby kontakt z palestrą, prokuraturą czy medycyną, kapitan był postacią znaną, niemal legendarną.

Tak się złożyło, że kapitana Bulę znał dość dobrze mój ojciec. Był w lesie w jednym oddziale z jego bratem, który padł potem w walce z bandami. Ojciec wspominał o nim dość często, nigdy jednak nie zdarzyło mi się widzieć kapitana u nas w domu. Bula był poza tym najbliższym przyjacielem profesora Kulskiego.

– Mam tam iść? – spytałem.

– Powiedział, że wpadnie tutaj obejrzyć protokół – odrzekł stary.

Pomyślałem chwilę.

– Nie wie pan, czego mogą chcieć ode mnie?

Odpowiedź, oczywiście, narzucała się sama. Byłem tylko ciekaw, skąd wiedzą, że u niej mieszkałem. Już, już miałem o to zapytać, kiedy Kulski odwrócił się i z zagadkowym uśmiechem zza fruwającego ręcznika – powiedział:

– Ona przecież mieszkała sama, prawda?

Spojrzałem na podłużny kształt spowity w białe płótno.

– Owszem – odparłem. – To znaczy – poprawiłem się – pięć lat temu. Wtedy, kiedy wynajmowałem u niej pokój.

Minęło półtora roku, zanim matka wymogła na ojcu, aby mi się postarał o samodzielną kawalerkę. Powiedziałem to profesorowi, dodając, że u Wójcikowej mieszkało się całkiem znośnie.

– Dużo ludzi u niej bywało? – Kulski podał mi ręcznik i z grzebieniem w ręku wrócił do lustra.

A więc to tak. Ostatecznie najpoważniejsi ludzie miewają swoje drobne przyjemności. Postanowiłem, że zrobię wszystko, aby profesor dowiedział się jak najwięcej przed moją rozmową z kapitanem.

– Poznałem tylko dwóch. Trzech – poprawiłem się po namyśle. – Ale po mnie mieszkał tam jeszcze drugi student, Kostecki.

Wreszcie udało mi się dorwać do umywalki. Bryznąłem wodą w twarz, jakby się paliła.

To musiało być na trzecim roku. Podszedł do mnie po jakimś wykładzie i spytał, czy to prawda, że się przeprowadzam. Nie pamiętam, kto mu powiedział. Ja na pewno nie. Nie łączyły nas bliższe stosunki. W każdym razie dałem mu adres Wójcikowej. Nie wiedziałbym nawet, czy go przyjęła, gdyby nie to, że po kilku dniach przyszedł mi podziękować.

– Nie miała tutaj nikogo z rodziny – powiedziałem, prychając. – W każdym razie ja o nikim takim nie słyszałem.

Zmoczyłem włosy i odwróciłem się twarzą do profesora. Ten stał chwilę, zamyślony, po czym założył ręce na plecach i zaczął krążyć po sali. Jego miękkie kapcie szurały nieprzyjemnie po kamiennej posadzce.

– To by się zgadzało – mruknął wreszcie, przystając.

Nie zdążyłem zapytać, co mianowicie mu się zgadza, bo w tej właśnie chwili w korytarzu zabrzmiały ciężkie kroki. Głucho uderzyły blaszane drzwi i ukazał się w nich średniego wzrostu mężczyzna, w średnim wieku i odrobinę więcej niż średniej tuszy.

Nie był łaskaw mnie zauważyć. Zatrzymał się przed stołem, na którym leżało ciało, i zaczął bez pośpiechu gmerać w kieszeniach. Wyłuskał wreszcie paczkę „giewontów” i skinął głową w stronę Kulskiego.

– No?

– Nie pal tutaj – powiedział przytomnie profesor.

Ręka z płonąca zapalką zatrzymała się wpół drogi. Czekałem, kiedy zacznie mu parzyć palce. W końcu zamachał dłonią. – I to dość żwawo.

– A poza tym? – zabrzmiał kolejny pomruk.

Profesor wzruszył ramionami.

– To co mówiłem – orzekł. – I nic więcej.

Kapitan Bula skinął obojętnie głową.

– O której?

– Między ósmą a ósmą dwadzieścia.

Bula skrzywił się, jakby chciał powiedzieć: „to także już wiem”.

Pewnie tak było. Sekcja rzadko pomaga uściślić godzinę zgonu, jeśli nie zrobi tego lekarz zaraz po wypadku. Kulski z pewnością nie zaniedbał niczego.

Chrząknąłem, odrobinę za głośno.

– Dzień dobry, panie kapitanie – powiedziałem.

Bula natychmiast zwrócił twarz w moją stronę. Jego prawa brew powędrowała do góry. Jakby pozował do próbnego zdjęcia w konkursie na rolę Mefista.

– Podobno chciał pan ze mną mówić? – dodałem, już nieco ciszej.

Widywałem go, oczywiście, od czasu do czasu. Nigdy jednak nie miałem okazji zetknąć się z nim, kiedy pracował. Dziś wydał mi się jeszcze bardziej mrukliwy i ospały niż zwykle. Miał na sobie brązowe ubranie i biały golf, tak bardzo nie licujący z jego sylwetką, że mógł być tylko prezentem od żony. Jego nogi tkwiły w zamszowych łapciach wyglądających tak, jakby przed włożeniem podrzucił je pod walec parowy.

Byłem po prostu zły. Nie lubię, kiedy ktoś mnie nie dostrzega, choćby był nie wiem jak sławny i zapracowany. Ja też bywam zajęty, ale wchodząc do czyjegoś mieszkania czy pracowni, mawiam jednak „dzień dobry”.

Wszystko to zabrzmiało w moim głosie i nie ulega wątpliwości, że kapitan w mig się w tym połapał. Mimo to milczał jeszcze chwilę, przyglądając mi się z dobrotliwym zainteresowaniem. Zrozumiałem, co czuł Sindbad, kiedy wyspa, na której stanął, okazała się wielorybem.

– To pan jest tym doktorem z samochodem? – zabrzmiał wreszcie głos Buli. Nie spodziewałem się, że mnie ucałuje, ale tego też nie. Spojrzałem na Kulskiego.

– Spytałem na dole, czy jest pan doktor – ciągnął Bula łagodnym, rzekłbym: serdecznym tonem. – Portier powiedział, że pan doktor przyjechał właśnie samochodem.

Chętnie udusiłbym tego portiera. Pytano go, oczywiście, o Kulskiego. Ale tego było mi już za wiele.

– Pan profesor przyszedł, o ile wiem, piechotą – wycodziłem przez zęby, rozciągając słowo „profesor”, ile mi tylko tchu starczyło. – A mnie kupił samochód tatuś, kiedy skończyłem medycynę. Jestem rozkapryszonym jedynakiem – dodałem z uśmiechem, jakiego nie powstydziliby się najwytrawniejszy żigolak.

– Uchm – mruknął Bula, zapalając wreszcie papierosa, pomimo karcącego gestu profesora. Zaciągnął się z widocznym zadowoleniem, skinął potakująco głową i powiedział:

– Dzień dobry, synu.

II

Wchodziłem po dobrze mi znanych schodach z głupim uczuciem, że włożę w potrzask. Pamiętam to uczucie z dzieciństwa. Pojawiało się, ilekroć szedłem z rodzicami złożyć życzenia cioci Heli. Im bliżej byliśmy jej mieszkania, tym bardziej przestawałem wierzyć, że kiedykolwiek stamtąd wyjdę. Biedna ciocia Hela. Nie żyje od czterech lat. Biedna ciocia. Biedne „Życie Płciowe”.

– Biedne Życie Płciowe – powiedziałem nagle na głos.

Bula przystanął. Nie bez złośliwej satysfakcji pomyślałem, że czekał tylko na okazję, aby zrobić przerwę w mozolnej wspinaczce na trzecie piętro. Swoją opinię o budowniczych dawnych klatek schodowych obwieszczał zresztą głośnym sapaniem i pomrukami.

– Co pan powiedział? – spytał, oddychając głęboko.

Zatrzymałem się dwa stopnie wyżej. Przyjemnie było patrzeć, jak zadziera głowę.

– Życie Płciowe – powtórzyłem. – Tak nazwał ją jeden z naszych kolegów. Był pan już w jej mieszkaniu. Na pewno zwrócił pan uwagę na bogate zbiory uciesznych pisemek i fotografii. Biedna Wójcikowa miała bzika na tym punkcie. Poza tym była przezacną kobieciną. Kiedyś uczyłem się przed egzaminem i nie spałem ze trzy noce. Przyszła, obrzuciła mnie matczynym spojrzeniem i orzekła smutnym głosem, z najświętszą powagą: „Drogi panie Janku, najważniejsza rzecz uregulować sobie życie płciowe”. Miała sceniczne „I”. Opowiedziałem to kolegom i tak już zostało.

– Hmm – obruszył się Bula.

– Odwiedzali ją mężczyźni? – zainteresował się Kulski.

– Stale przychodził tylko jeden – odpowiedziałem. – Nie wiem nawet, jak się nazywał. Mówiliśmy o nim „pan Kazimierz”. Chodził zawsze w koszuli i szelkach. Od czasu do czasu siadał przy fortepianie i grał „Serenadę” Szuberta. Umiał tylko to i kolędy. Najbardziej muzykalny stawał się po Bożym Narodzeniu. Kiedy któryś z nas wchodził do pokoju, odrywał palce od klawiatury i mówił grobowym basem: „Bo wie pan, człowiek potrzebuje czasem czegoś takiego głębszego...” Tym słowom towarzyszył nieodmiennie ruch ręki, naśladujący pracę pogłębiarki.

– Co się z nim stało? – spytał profesor.

– Umarł. Poza tym wpadał czasem mecenas Sikora.

– Ten z trzeciego piętra? – Bula wszedł stopień wyżej. Ale tylko jeden stopień.

– Tak – potwierdziłem – sąsiad.

Drzwi na piętrze pod nami uchyliły się i wyjrzała rozczochrana głowa oraz ręka zaciskająca brudny szlafrok w miejscu, gdzie mógłby być biust. Kapitan mruknął niechętnie i spojrzawszy z rozpaczą w górę wkroczył na następny stopień.

Dzwonek zabrzmiał ostro i obco. Może dlatego, że awizował przybycie kogoś, kogo sprowadziła do tego domu nie gościnność mieszkańców, lecz zbrodnia. Był to jednak ten sam dzwonek.

Drzwi otworzył młody mężczyzna w milicyjnym mundurze, bez czapki.

– Witam, sierżancie – pozdrowił go Kulski. W jego głosie było coś więcej niż zawodowa uprzejmość.

Młody człowiek uśmiechnął się do profesora, wyprężył przed Bulą i jednym skokiem z półobrotu zniknął w głębi korytarza. Nieco zdziwiony podążyłem za kapitanem. Zaraz za progiem stanąłem.

Mniej więcej metr od drzwi narysowano na podłodze grubą białą krechą kontury czegoś, co jeszcze dzisiaj rano było Wójcikową. Górny owal głowy łamał się pod kątem prostym przechodząc częściowo na ścianę, a częściowo na boczną płaszczyznę rozkraczonej komody. W miejscu załamania rysunku widniała duża brunatna plama. Nie wyglądała przyjemnie. W powietrzu unosił się nikły zapach chemikaliów, głuszac charakterystyczną woń starego mieszkania. Przy końcu białej linii celującej w stronę drzwi i wskazującej układ ręki też ciemniały rozmazane plamy. Szybko przeniósłem wzrok na komodę. Górna szuflada była do połowy wysunięta. Kipiało z niej kłębowisko kolorowych szmatek. Błat zdobiła ta sama co kilka lat temu serweta, kilka flakoników, których nigdy nie ruszano z miejsca, i torebka z krokodylowej skóry.

Za komodą wieszak, a na nim dwa płaszcze sztywne od brudu, pamiętające konne tramwaje. Tylko ten brud utrzymywał je w pozycji pionowej, bo ostatnią nitkę, z jakiej były utkane, zjadły dawno już nie żyjące mole. Pasiasty chodnik, lustro w drewnianych ramach zwieńczonych pokracczonymi pagodami, makatka wyobrażająca zachód słońca nad Nilem i dwa porcelanowe talerze z wykrzywionymi w stronę gości papugami. Nic się tu nie zmieniło.

Pierwsze drzwi na lewo prowadziły do mojego dawnego pokoju.

Na pierwszy rzut oka i tutaj wszystko wyglądało tak, jak to zostawiłem. Poza zjawiskiem, które podniosło się na nasz widok z wiekowego tapczanu. Miało bardzo jasne włosy i bardzo krótką spódniczkę. Nie powiedziałbym złego słowa, gdyby znalazło się tutaj kilka lat temu.

– Skąd ta się tutaj wzięła? – zagrmiał z tyłu dyskretny baryton Buli.

Dziewczyna poruszyła się niepewnie i obciągnęła czerwony sweterek. Też bym tak robił, gdybym mógł w ten sposób uwypuklić to, co ona miała wypukłego.

– Siostrzenica za... pani Wójcikowej – wyjaśnił urażonym tonem sierżant. – Przyjechała przed chwilą.

– Gdzie pani mieszka? – kapitan odsunął Kulskiego i stanął obok mnie.

– W akademiku – odpowiedziała szybko. Głos miała trochę za wysoki, ale w tych okolicznościach nawet Szaliapin miałby prawo przemówić dyszkantem. Posunęła się krok do przodu.

– Nazywam się Mroczkówna – pisnęła. Przyjąłem to ze stosownym entuzjazmem.

– Jak pani na imię? – znowu musiałem postąpić do przodu, bo Bula zrównał się ze mną i najwidoczniej zamierzał mówić.

– Anna – odrzekła z godnością.

– Jak to się mogło stać – zawołałem – że mieszkając tutaj półtora roku ani razu pani nie spotkałem?

Lament w moim głosie zabrzmiał tak, jak powinien. Dziewczę uśmiechnęło się z wprawą i zatrzepotało rękami.

– Moi rodzice mieszkają w Chrzanowie – powiedziała. – Przyjechałem tutaj na studia. Ale tatuś nie chciał, żebym mieszkała u cioci.

Skinąłem ze zrozumieniem głową. Tatuś musiał coś niecoś wiedzieć o empirycznych dociekaniach Życia Płciowego, no i jej kolekcji.

– Gdybym mógł przewidzieć... – zacząłem.

– Nie wyprowadziłby się pan – dokończył Bula. To właśnie chciałem powiedzieć. Ale nie tym tonem. Ten, którego użył kapitan, prowadził donikąd.

– No, no – wtrącił pojednawczo Kulski.

Ale Bula, który znowu zrównał się ze mną, postanowił widać nie oddawać już inicjatywy. Odchrząknął stanowczo i skinął na sierżanta. Ten zbliżył się natychmiast. Dziewczę posmutniało.

– Jak to się stało... z ciocią? – szepnęła.

– Padła ofiarą morderstwa – rzekł Bula.

– Na razie nic nie wiadomo – pośpieszył podkreślić swoje prawa sierżant. – Poza tym, że ktoś ją, niestety, zabił.

Przyjrzałem mu się uważniej. Mógł mieć ze dwadzieścia pięć lat. Wysokie czoło, szczupły, prosty nos i wesołe usta. Podbródek jak z Mai Berezowskiej. O jego włosy biliby się fryzjerzy przed każdym ze swoich wielkich konkursów. Były czarne, miękkie, z metalicznym połyskiem jak pancerz chrabąszcza. Dłonie miał wysmukłe, prawie kobiece. Skrzywiłem się. Powinien zostać księdzem i malować madonny. Bez dekoltów.

– Niech pani siada – burknął kapitan wskazując dziewczynie tapczan.

Usiadła posłusznie, w pozie dobrze wychowanej dziewczynki z przedwojennej pensji. Tylko że dobrze wychowane dziewczynki z pensji zaślaniały sobie coś niecoś.

Bula sięgnął po giewonta i zwrócił się do mnie.

– No i co?

– W tym pokoju mieszkałem – wyjaśniłem.

– Właśnie – zgodził się kapitan.

Rozejrzałem się. Na stole stał ten sam zakurzony wazon i coś, co służyło mi za popielniczkę. Pod oknem biurko z tym samym kałamarzem, ozdobionym ciężkim mosiężnym

orłem z rozpostartymi skrzydłami. Ta sama etażerka zasłonięta kwiecistą firanką, upiętą na obluzowanej wstążce. Pokraczna szafa z lustrem, w którym odbijały się teraz nogi panny Mroczkówny. Nie rozglądałem się już dalej.

- Ona tu niemal nie zaglądała – powiedziałem zgodnie z prawdą, po krótkiej przerwie.
- Poza tym wszystko tak, jak było. Zresztą – dodałem – po mnie mieszkali tu przecież inni.
- Tak – rzekł Bula. Wyprostował się i ruszył ku drzwiom.

Poza tym, który wynajmowała, Życie Płciowe miała jeszcze dwa pokoje. Pierwszy, z fortepianem i biblioteką jakby wyjętą z angielskiego melodramatu, służył jako jadalnia, a nazywany był salonem. Zresztą tak sama Wójcikowa, jak i jej nieliczni goście jadali zawsze w kuchni. W „salonie” podawała najwyżej herbatę. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Buli pokręciłem przecząco głową. Ruszyliśmy do sypialni.

Rozbebeszona pościel była w porządku. Wójcikowa słała łóżko tylko wtedy, kiedy przychodził „pan Kazimierz”. Konsola, zavalona słoiczkami, tubkami i setkami podejrzanych narzędzi, stos wydeptanych papuci, cmentarne, niebieskie firanki. To wszystko się zgadzało. Tylko staroświecka komoda straszyla wyciągniętymi szufladami. Nad jedną z nich, w miejscu, gdzie powinien być zamek, świeciła świeżym drewnem podłużna szczerba. Musiało mu się śpieszyć. Dwie górne szuflady leżały na podłodze. Jedna z nich do góry dnem. Tuż obok wały się porozciągane kupy damskich fatałaszków. Nie tylko. Wśród rozsypanych guzików dostrzegłem coś złotego. Nieco dalej leżało kilka zielonych papierków.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI